



PISMO TYGODNIOWE.

Nr 9.

Rok 1922. WARSZAWA, 25 Lutego

Rok LV

WASZYNGTON—CANNES—GENUA.

Te trzy wyrazy, oznaczające trzy zjazdy międzynarodowe, skupiały w ostatnich czasach na sobie kolejno uwagę polityków całego świata.

Pisaliśmy w swoim czasie w tem miejscu o nadziejach, związanych z konferencją Waszyngtońską, i o pierwszych jej rezultatach.

Dziś, gdy konferencja w d. 6 lutego b. r. zamknięta została, możemy podać bilans ostateczny jej prac. Otóż główne wyniki dadzą się streścić w następujących punktach: 1) układ czterech mocarstw (Stany Zjednoczone, Anglja, Japonja i Francja) w sprawie wysp Oceanu Spokojnego, do których naturalnie nie liczy się Japonji, 2) układ w sprawie Chin, na mocy którego usuwa się politykę otwartych drzwi w Chinach, uznaje się w zasadzie ich terytorjalną nienaruszalność i Japonja zobowiązuje się do oddania Szantungu Chinom, które jednak w odrębnym układzie z Japonją przyznają jej pewne ekonomiczne korzyści, 3) zobowiązanie się zasadnicze Mocarstw do redukcji zbrojeń morskich w pewnym stosunku i w pewnym terminie.

Co do rezultatów, jakie Francja osiągnęła w Waszyngtonie, to nie okazały się one w końcu tak pomyślne, jak tego pierwotnie spodziewać się można było. Przedewszystkiem nietylko nie udało się Francji nawiązać stałego kontaktu z Włochami, co by obu tym państwom pozwoliło wspólnie reprezentować kontynent europejski, ale, przeciwnie, potężna propaganda niemiecka pogłębiła rozdziew między nimi, korzystając ze znanej plotki o rzekomym anty-włoskim zwrocie w mowie Brianda. Wprawdzie oszczerstwo sprostowano, pozostał jednak pewien osad niechęci, co też między innymi spowodowało rezultat wystąpienia Brianda niemal że tylko do znaczenia retorycznego efektu. Niekorzystnie również dla Francji uświadomiło stanowisko jej w sprawie łodzi podwodnych. Francja, jako Mocarstwo wybitnie śródziemno-morskie, mające znaczne też posiadłości nad oceanem Spokojnym, musi dbać na wypadek wojny o zabezpieczenie sobie stałego kontaktu z ludnością swoich kolonji, która dostarczała jej tak cennych i tak nie-

zmiernie zasłużonych rezerw wojskowych w czasie wojny światowej. Dlatego, godząc się na redukcję głównych okrętów wojennych bardzo znaczną nawet w stosunku do głównych trzech Mocarstw, zastrzegła sobie jednak posiadanie wielkiej stosunkowo ilości łodzi podwodnych, które się okazały znakomitą bronią defensywną. Okazały się one jednak zarazem bronią tak groźną, że wielkie Mocarstwa morskie ze zrozumiałą niechęcią potraktowały to stanowisko, aczkolwiek ono z punktu widzenia interesów Francji jest nie mniej zrozumiałe. Stąd wynikło pewne izolowanie Francji na konferencji, a zbliżenie natomiast Anglji do Stanów Zjednoczonych, przez zniesienie traktatu japońsko-angielskiego z jednej strony i przez rozwiązanie kwestji irlandzkiej z drugiej.

Korzystając z tak pomyślnego układu stosunków, postanowił Lloyd George wyzyskać go w celu ostatecznego utrwalenia przewagi swej nad Francją. Po wstępnych konferencjach między Briandem a Lłodyem Georgem w Londynie, zjechali się premierowie: angielski, francuski i włoski na narady w Cannes 6 stycznia b. r.

Tam to Lloyd George przedstawił swój podwójny projekt 1) paktu wojskowego angielsko-francuskiego, 2) powszechnego międzynarodowego zjazdu w Genui, który się ma zająć pacyfikacją i uporządkowaniem gospodarczych stosunków Europy.

Oba punkty w ujęciu Lloyda Georgea są niebezpieczne. Układ z Francją miał mieć jednostronny charakter paktu niejako gwarancyjnego nad bezpieczeństwem Francji, wzamian za co żądał Lloyd George zastosowania się Francji do zasadniczych wytycznych polityki angielskiej. Było to oczywiście dla Francji i upokarzające i niekorzystne, wywołało gwałtowny protest opinii publicznej i w rezultacie niemniej gwałtowny upadek gabinetu Brianda a powołanie do rządów Poincaré'go.

Poincaré paktowi z Anglją chce nadać charakter dwustronny, ze ściśmieniem zobowiązań, z wyrównaniem uprzedniem spraw spornych bez obowiązku ustępstw jednostronnych, z włączeniem o ile możliwości gwarancji dla bezpieczeń-

stwa Polski. To ostatnie, wobec zdecydowanej w tym względzie niechęci Anglji, zapewne się nie uda. Jednak podpisanie układów polsko-francuskich, przyspieszone przez Poincaré'go, zmusi Anglję w pakcie z Francją liczyć się w pewnej mierze z tym paktem dokonany. Już to samo świadczy, jak korzystną była dla nas zmiana rządu we Francji, i jak bardzo mylili się się ci, co się jej obawiali.

W sprawie Genui stoi Poincaré na słusznym stanowisku, że konferencja ta winna być tylko formalnem solennem ujawnieniem niejako, układów, uprzednio przeprowadzonych i przygotowanych w drodze dyplomatycznej, tak iżby nie kryła w zanadrzu swem efektownych, a szkodliwych dla dobra państw poszczególnych, niespodzianek.

Stąd wysunięte przez premiera francuskiego wynikło, żądanie odroczenia konferencji o 3 miesiące. Na żądanie Anglji nie udzieliła dotąd odpowiedzi, rząd włoski zaś wyraził opinię przeciwną odroczeniu. Możliwe, że odroczenie nastąpi, ale tylko o parę tygodni.

Polska, która pierwszy raz na konferencji międzynarodowej spotkać się ma w Genui oko w oko z przedstawicielami Niemiec i Rosji, jest w sposób szczególny zainteresowana, tak w sposobie jej zorganizowania, jak w treści jej obrad. Powinniśmy wystąpić tam z własnym programem ekonomicznym w sprawie odbudowy Rosji, oraz przywrócenia normalnych stosunków w Europie środkowej. Powinniśmy, co więcej, w myśl słuszných poglądów Poincaré'go, przedtem jeszcze w rokowaniach dyplomatycznych przygotować przeprowadzenie zarówno naszych postulatów ekonomicznych jak i politycznych. Wśród tych ostatnich na pierwszym planie stoi sprawa uznania przez Mocarstwa granic Traktatu Ryskiego, łącznie z pomyślnem i definitywnem załatwieniem kwestji Wileńskiej i Wschodniomałopolskiej.

Moment jest przełomowy, zadania pierwszorzędne, odpowiedzialność rządu ogromna.

Irena Pannenkowa.

PROF. IGNACY CHRZANOWSKI.

DWA NIEZNANE LISTY KRASIŃSKIEGO.

Na lat kilka przed setną rocznicą urodzin Zygmunta Krasińskiego (d. 19 lutego r. 1912) postanowił ją uczcić jego wnuk, Adam Krasiński, w najlepszy i najgodniejszy sposób, to znaczy zapomocą zupełnego i krytycznego wydania zarówno jego pism, jak i listów. Śmierć przedwczesna (r. 1909) nie pozwoliła mu urzeczywistnić tych zamiarów; zrobił wprawdzie dla uczczenia pamięci swego dziada bardzo dużo, ogłaszając cały szereg jego nieznanych utworów, jego korespondencję z Henrykiem Reeve'm, z Adamem Potockim i t. d.: ale nie sądzonem mu było oglądać ani krytycznego wydania jego pism, ani zbiorowej edycji jego listów.

W roku jubileuszowym ukazały się nakładem rodziny — *Pisma Zygmunta Krasińskiego* w ośmiu tomach, we wzorowym wydaniu Jana Czubka. A korespondencja? Wydano w dwóch tomach listy do Cieszkowskiego... mocno okrojone. Listy do ojca i do Delfiny Potockiej spoczywają do dziś dnia w archiwum rodzinnym. O nowem, poprawnem wydaniu listów do Gaszyńskiego, do Małachowskiego, do Sołtana, do Słowackiego, do Trentowskiego i t. d. nikt jakoś nie myśli, i kto wie, może do wydania całkowitej korespondencji pobudzi rodzinę dopiero... dwóchsetna rocznica urodzin Krasińskiego.

Muszą być jakieś ważne powody, natury moralnej (bo chyba nie materialnej), że rodzina nie spełnia woli Adama Krasińskiego, który miał zamiar ogłosić *wszystkie bez wyjątku* listy swego dziada (jak to niejednokrotnie oświadczał piszącemu te słowa). Widocznie rodzina nie chce, aby się życie i oblicze duchowe Zygmunta Krasińskiego odśłoniły potomności w całej pełni. Trudno. Nie pozostaje nic innego, tylko cierpliwie czekać, a tymczasem ogłaszać, co się da.

Otóż ogłaszamy tutaj dwa nigdzie nie drukowane listy Zygmunta Krasińskiego do Stanisława Krasińskiego (1811—1849), syna Józefa Wawrzyńca i Anny Emilji z Ossolińskich, adjutanta generała Tomasza Łubieńskiego w wojnie r. 1831.

Drogi bracie!

W tej chwili nie masz czasu na czytanie listu czyjegokolwiek — kochasz — więc tylko czytać umiesz w oczach ukochanej, ale zawsze jednak stanie ci cierpliwości na przeczytanie tych słów kilku szczerem ci przestanych sercem. Bądź szczęśliwy dziś i jutro, teraz i na zawsze.

Zygmunt K.

1841 2-go kwietnia, Rzym.

Mój drogi Stasiu!

Tysiąc dzięków ci składam za twoją przyjaźń i pamięć dnia 19-go lutego, pamiętasz —

w rocznicę tych fortec, zdobywanych w dzieciństwie, i tych kuglarzy, sprowadzanych na urodziny moje, uderzony zostałem dwoma apoplektycznymi rzutami krwi, które mnie mało co że o zgon rychły nie przyprowadziły — puszczeniem krwi uratowan — później wód kissingskich pić na nogi postawion i już daleko lepiej, doznałem najokropniejszych wrażeń moralnych i znów mnie one mocno zaszkodziły. Biedny Konstanty¹⁾ albowiem, który już od miesiąca leży w łóżku, 9-go marca konać zaczął i doktory mu tylko kilka godzin życia dozwalały, więc nocą po księdza biegać musiałem i widziałem, jak olej ostatniego namaszczenia spoczął na tych tyle kochanych przeze mnie powiekach. Gromem mi w nerwy był ten widok. Znów się roznie mogłem cały — lecz dzięki Opatrzności wszechmogącej i której wyroki nie pilnują się rachub lekarzy, po trzech dniach ciągłego konania na tyfus, znać zwyciężył jego organizm i śmierć już stojąca obok odeszła od łóża jego — został się żywy na niem, ale strasznie osłabiony i nawet dotąd zupełnie, podług prawideł sztuki, z niebezpieczeństwa nie wybrnął — lecz według nadziei serca mego, zda mi się, że go Pan ocalił — i dzięki, dzięki Panu, bo z nim połowa i umysłu i serca mego byłaby zesła pod ziemię, w zimno grobu! — Piętnaście lat wspólnych myśli, rozumowań, uczuć, byłyby odeszły ode mnie! Dzięki Panu, dzięki! Czekam tylko, aż mi doktor powie, że zupełnie z niebezpieczeństwa wydobyty, by stąd natychmiast wyruszyć. — Zaraza w tem mieście szeroka — umierają licznie, pogoda wściekła — jak żyję takich burz nie widziałem — wyruszę zatem zaraz po świętach, jeśli Bóg pozwoli ku północnym Włochom, lecz jeśli zechcesz do mnie napisać, pisz zawsze tu, a list mnie dojdzie bez chyby.

Straciłeś dziecię — aniołem jest w niebie — co myślisz lepszego? Czy nieszczęśliwym być człowiekiem na smętnej ziemi, czy sługą Bożym w Królestwie Bożem? Za dziećmi umierającymi płakać to płakać nad sobą, nie nad niemi — bo im życia Los oszczędził — zatem próby ciężkiej — i dał zaraz to, czego my się dorywać musimy trudem, bólem — niepowodzeniami — widokiem i doznaniem wielu złego i nikczemnego. Dziecię twoje, Stasiu, dziś modli się o ciebie w niebiesiech! Niech ta myśl żal twój ukoł — wierz mi — choć śmierć jest straszną chwilą, może życie straszniejszem jeszcze, w pewnych czasach — Tobie osobiście takowa strata bardzo dotkliwą być musiała — pamiętam, kiedyśmy dziećmi jeszcze bawili się po trawnikach ogrodowych, domowych, już wtedy w tobie leżał zmysł ojcowski i do przyszłych, nie urodzonych dzieci twoich przywiązanie. Raz, pamiętam jakbyś cię dziś słyszał, gdy cię się pytał, czemu sobie nie folgujesz po studencku, po akademicku, słowem, czemu nie hulasz, jak to nasza owoczesna generacja cała,

tyś mi odrzekł poważnie: „Chowam siły moje dla dzieci moich“, mozesz miał wtedy lat 16 — nieprawdaż, Stasiu mój? Więc czuję i rozumiem, jak dalece to nieszczęście musiało rozranić ci duszę — ale ufaj w Boga — mieć jeszcze inne będziesz, które wychowasz na ludzi i pocciwych i zdrowych i zacnych — nie każda kołębka zamienia się na trumnę w domu twoim — owszem obaczysz, ród dzielny i siły pełen rozwunuczy się z ciebie, mam najgłębsze przekonanie tego. Od kiedyś się ożenił,¹⁾ ni ty do mnie, ni ja nie pisał do ciebie — racz moje uszanowania, choć nieznany jestem Jej, żonie twojej złożyć. Powiedz mi, czy Karol szczęśliwy? On także oniemiał zupełnie od kiedy dostał tak rozumnej żony — uściskaj go serdecznie ode mnie i powiedz, że czasem napisanie listu do mnie z ufnością dawnych czasów w niczemby nie ubliżyło małżeńskiej wierności. Powiedz, co i Adaś porabia? Jedyna wieść o nim, doszła uszu moich, to była, że się nie-miłosiernie upił chłopak na weselu Karolowem — lepiejby był uczynił, gdyby książkę jaką przeczytał — pilnujcie wy jego, by nie wykierował się na reprezentanta nowej generacji, zakochanej w kartach, szampanie, śledziach holenderskich i nicości umysłowej. — Szkoda by było duszy jego i imienia.

Kiedy mnie znaglasz do powrotu, nie zważasz na stan zdrowia mego, chciałem spróbować, czy mi się nie uda przeczimować z tej strony Alp — patrz, jak mi się próba udała — mało żem nie opuścił na zawsze tego planety, póki we mnie się krew tak nie uspokoi, na północne pogody narażać się nie mogę. — Raz jeszcze dzięki tobie za pamięć — wiesz, że cię kocham, jak za dni wspólnych dzieciństwa, co u wstępu do życia w sercu ugrzęzło, tego nie później oderwać ni wygluzować nie zdoła. Tak i związki nasze — przyjaźń nasza, tym złóż uszanowania moje i Matce.

Twój na zawsze

Zyg.

1842 18-go marca, Munich.

Autografy tych listów znajdują się obecnie w archiwum rodzinnym prawnuka Stanisława Krasińskiego, ks. Macieja Radziwiłła,²⁾ który upoważnił niżej podpisanego do ich ogłoszenia³⁾.

¹⁾ Stanisław Krasiński był żonaty z Dorotą Jabłonowską.

²⁾ Córką Stanisława Krasińskiego, Jadwigą, wyszła w r. 1862 za Macieja Radziwiłła.

³⁾ W temże archiwum znajduje się jeden jeszcze list Zygmunta Krasińskiego do Stanisława Krasińskiego, pisany w Genewie d. 13 czerwca roku 1831. Ogłosił ten list Kallenbach w uzupełnieniach do drugiego tomu swej monografii o młodości Krasińskiego.

¹⁾ Mowa tu o najserdeczniejszym ze wszystkich przyjaciół, Konstantym Danielewiczu.

IDEAŁY WYCHOWANIA FIZYCZNEGO.

(DALSZY CIĄG.)

II.

Ażeby należycie zdać sobie sprawę z tego, jakie znaczenie posiada kultura cielesna dla rozwoju duchowego, należy przede wszystkim określić samo pojęcie sportu, które często bywa u nas nieprawidłowo rozumiane. Tak np. w wielu poczytnych czasopismach do sportu zalicza się wyścigi konne, szachy, zbieranie marek pocztowych, rozwiązywanie szarad i t. p. Rzecz oczywista, że takie interpretowanie sportu, jako jednej z dziedzin wychowania fizycznego, nie jest właściwe.

Sport z punktu widzenia higieny można określić w ten sposób, że musi być on związany z ruchem fizycznym na świeżym powietrzu, dokonywanym dla rozrywki i zarazem dla osiągnięcia jak największej sprawności w określonej dziedzinie. Sportem więc jest pływanie, łyżwiarstwo, narty, turystyka, ale nie jest nim gra w szachy, zbieranie marek ani żadna inna rozrywka umysłowa. Polowanie nie będzie sportem dla zawodowego myśliwego, który traktuje to zajęcie, jako zarobek, natomiast będzie sportem wówczas, gdy jest uprawiane dla rozrywki. Podobnie ogrodnictwo nie jest sportem dla ogrodnika, natomiast zajęcie w ogrodzie stanowi sport dla każdego, który oddaje się temu zajęciu dla przyjemności i zdrowia fizycznego. Taniec nie jest sportem, gdyż nie odbywa się na świeżym powietrzu i, co najważniejsze, mając zadania towarzyskie na celu, nie dąży do metodycznego ćwiczenia sprawności cielesnej. Nie są również sportem wyścigi konne, gdyż przeznaczeniem ich jest cel praktyczny — popieranie hodowli koni rasowych, nie mówiąc już o tem, że zawierają one pierwiastek hazardu, natomiast sportem jest jazda konna, która jest rozrywką, rozwijającą zręczność, estetykę ruchów i opanowanie równowagi.

Jednakże określenie, podane powyżej, nie wyczerpuje całokształtu cech, zawartych w pojęciu sportu. Nie tylko bowiem nieodłączną cechą jest tu metodyczne ćwiczenie ciała, połączone z rozrywką, lecz zazwyczaj sport jest związany ze współzawodnictwem, czyli z dążeniem do osiągnięcia wyższości nad innymi osobnikami w określonej dziedzinie. I tu należy podkreślić, że o ile możnaby potępić z wielu punktów widzenia przesadę w tym kierunku, a mianowicie urządzenie turniejów z rozdawaniem medali i dyplomów oraz tolerowanie forsownych wyścigów i rekordów w celu odznaczenia się i zadowolenia miłości własnej, to jednak umiarkowane i szlachetne współzawodnictwo jest, bez wątpienia, niezbędnym czynnikiem postępu w każdej dziedzinie i takim jest właśnie w sporcie. Narody najbardziej silne i żywotne nie zaniedbały współzawodnictwa w dziedzinie przodowania nie tylko pod względem zalet umysłu i charakteru, ale i zalet strony cielesnej. Widzieliśmy to w Grecji (Igrzyska Olimpijskie), w Rzymie,

dziś widzimy w Anglii. Studenci dwóch najpierwszych uniwersytetów angielskich Oxford i Cambridge urządzają co rok zawody sportowe (regaty) i w metodycznych przygotowaniach do nich drogą studjów nad odżywianiem, trenowaniem, hartowaniem zaangażowane są nawet katedry uniwersyteckie. I doprawdy, byłoby nader pożytecznem, aby wznowić w czasach obecnych tę postać współzawodnictwa, które w epoce klasycyzmu doprowadziło do tego, że zwycięzcę w grach olimpijskich stawiano na równi z wybitnymi artystami i filozofami.

Dążenie do doskonałości w określonej dziedzinie — oto najistotniejsza cecha, właściwa każdemu należycie uprawianemu sportowi, który w ten sposób staje się *pierwszorzędną metodą wychowawczą dla młodzieży*. O ile gimnastyka ma na celu metodyczny i wszechstronny rozwój czynności organizmu przez systematycznie ujęte w reguły ćwiczenia, o tyle sport obejmuje zwykle jedną dziedzinę czynności fizycznych, lecz zabarwia je pierwiastkiem duchowym i rozwija do możliwego maximum przez dążność do udoskonalenia tych czynności.

Sprawa oddziaływania sportu i gimnastyki na psychikę i charakter jest istotnie nader interesująca i zasługuje na bliższe omówienie. Zagadnienie to zostało szczegółowo rozpatrzone przez znakomitego znawcę u nas tej dziedziny, prof. dr. Piaseckiego w pracy „O wpływie ćwiczeń fizycznych na rozwój psychiczny” oraz przez dr. Osmólskiego w „Higjenie sportu”. Sam przed kilkunastu laty poruszyłem tę sprawę w „Ruchu”, czasopiśmie, redagowanym przez nieodżałowanego działacza na polu wychowania fizycznego, W. R. Kozłowskiego. Na tem miejscu ograniczyć się musimy do podania kilku uogólnień i ważniejszych wniosków.

Pomiędzy młodzieńcem, uprawiającym ćwiczenia gimnastyczne, a listonoszem lub rybakiem, który również wykonywa ruch fizyczny w ciągu swego zajęcia, istnieje ta zasadnicza różnica, że podczas gimnastyki działają w silnym napięciu *władze intelektualne*, gdy praca listonosza jest mechaniczna, zautomatyzowana. Jeszcze bardziej czynnik duchowy odgrywa rolę w sporcie, który, jak to widzieliśmy, dąży do zaprawienia organizmu do walki z określonym żywiołem w celu rozwoju jednej z najważniejszych cech charakteru — *panowania nad sobą*.

Weźmy dla przykładu zwykłe ćwiczenie — skok przez przeszkodę. W pewnym momencie osobnik ma wykonać nagły ruch, wymagający skupienia sił fizycznych i duchowych oraz skierowania ich ku jednemu celowi, który polega na pokonaniu przeszkody. Podobny proces psychiczny przeżywamy jeszcze w silniejszym stopniu, gdy mamy np. wskoczyć do zimnej wody. Tu również chodzi o przezwyciężenie się i ze-

środkowanie całej energii nerwowej w celu wykonania wysiłku, polegającego na odważeniu się na ruch, któremu towarzyszy uczucie pewnej przykrości.

W gimnastyce, grze ruchowej oraz w sporcie poruszamy naszym ciałem mechanicznie. Każde ćwiczenie fizyczne, każda gra zbiorowa, wszelki sport — wymaga silnego napięcia psychiki, zdecydowania się na pewien czyn, akt woli, któremu towarzyszy narażenie się na przykrość lub niebezpieczeństwo z powodu grożącej nam przeszkody lub żywiołu. Tu zatem *duch uczy się panować nad ciałem, duch ćwiczy ciało*. Osiągamy w tym wypadku pełne zharmonizowanie działania sił fizycznych i duchowych przy podporządkowaniu się naszego ustroju jednemu celowi. W danym razie cel ten jest natury materialnej, lecz stan duchowy, jaki przeżywamy podczas tych czynności, utrwała się w nas i staje się zarodkiem wyrabiających się w ten sposób cech charakteru.

Cały szereg ujemnych stron charakteru młodzieży oraz niepożądanych usposobień duchowych może być przekształcony przez uprawianie ćwiczeń cielesnych, sportów, gier i zabaw ruchowych. Więc gdy chodzi o osobników niestałych, szybko zniechęcających się, — w tym wypadku gimnastyka i sport wyrobi cechy wytrwałości i stanowczości; jednostki apatyczne i przygnębione znajdą w ćwiczeniach cielesnych szlachetną podniechęć i bodziec dla systemu nerwowego, co wytworzy optymizm i wiarę w swe siły; na powolnych i ospałych flegmatyków kształcenie fizyczne wpłynie pobudzająco, da impuls do czynu, wywoła ożywienie wszelkich czynności cielesnych i duchowych w ustroju.

Należy tu poruszyć jeszcze jedną stronę zagadnienia. Znaczenie gimnastyki, sportu i gier ruchowych sięga o wiele głębiej, zajęcia te bowiem zawierają czynnik, w wysokim stopniu uspołeczniający. W każdej grze zbiorowej jest pole do wyładowania się takich cech charakteru, jak towarzyskość, karność, poświęcenie swego interesu dla dobra innych, słowem jest to *prawdziwa szkoła uczuć społecznych*. Tu młodzież uczy się szanować prawa i przepisy, które każda grupa grających spełniać powinna, ażeby solidarnie zwalczać przeciwnika, tu jest możliwość wyróbenia w sobie bezstronności sądu i poczucia sprawiedliwości podczas zatargów i rozstrzygania sporów o zwycięstwo, tu ogół uczestników zabawy ruchowej zaprawia się w szlachetnym współzawodnictwie i kształci na przyszłych obywateli społeczeństwa.

Widzimy zatem, jaki szeroki jest zakres oddziaływania gimnastyki i sportu na charakter. Gimnastyka kształci uwagę, szybkość orientowania się i koordynację nerwowo-mięśniową, sport rozwija odwagę, przedsiębiorczość i przytomność umysłu,

grę zaś ruchowe — dają pole do rozwoju towarzyskości, altruizmu i uspołecznienia. Wszystkie zaś te dziedziny kultury fizycznej dążą do wyrobienia u młodzieży *uczucia pewności siebie i ogólnej sprawności cielesnej i duchowej* przy dążeniu do zamierzonego celu.

Jeżeli często słyszy się zdanie, że jednym z najważniejszych wskazań dla pedagogiki nowoczesnej jest przeistoczenie jednostronnej szkoły intelektu na szkołę życia i charakteru, to ideał ten osiągnąć można jedynie przez należyte uwzględnienie

nie kształcenia fizycznego, gdyż w ten sposób najłatwiej wprowadzić możemy do szkoły pierwiastek etyczny i społeczny w wychowaniu młodzieży.

Dr. T. Jaroszyński.

(d. c. n.)

ZOFJA ROŚCISZEWSKA.

B A L.

*Były race, były kłomby i tęcze,
Były z bajki błędne — kofa obręcze.*

*Była gaza, sukni gaza różowa,
Niewymowne blaski, dreszcze i słowa...*

*W kandelabrach były brzozy i świece,
W pantofelkach małe nóżki kobiece*

*I markizów kolorowo — pstre fraki,
Jak nasturcje, jak rezedy, jak maki...*

*A nad ranem fzy woskowe na ziemi —
Wstążki w pyłe z kwiaty zabitymi —*

*Świtem — drobne plamki wina na gazie
I zmienione do cna oczy w wyrazie.*

NIC NIE POMOGŁY.

*Nic nie pomogły aksamity,
Ni turkusami płaszcz 'szyty,
Ani dywany,
Ni złote ściany —
Zabity leży, zabity...*

*Nic nie pomogły kwiatów wieńce,
Jak lazur, grynszpan, rumieńce,
Ani pojazdy,
Ni z pereł gwiazdy,
We wdowiej chodzi sukience!*

*Nie pomógł zasnąć owoc maku
I nikt nie zbawił z orszaku,
Ani płkanie,
Ni ręk łamanie,
Najbardziej jedyny ptaku!*

MOLIÈRE W POLSCE.

(DOKOŃCZENIE).

Nie idzie o to, czy tworząc Geldhaba, Fredro wzorował się na Jourdainie, Milczka — na Tartuffie, czy Łatkę na Harpagonie, lecz o to, że Fredro jest świetnie wykutem ogniem w tym łańcuchu rozwoju, jaki zapoczątkował Molière. Jest to zarówno dowodem wielkości Molièra, który stworzył podstawy, na jakich oprzeć można było komedję jeszcze w sto pięćdziesiąt lat po nim, jak i wielkości Fredry, który umiał korzystać z niezniszczalnych zdobyczy swego poprzednika, rozwinąć to, co u niego było tylko wytknięciem drogi dla następców. Tą wielką platformą, na której się spotykają pod sztandarem Molièra wszyscy komedjopisarze, tworząc prawdziwe dzieła sztuki, jest znajomość duszy ludzkiej, nie uczył się tego może nasz poeta od Poquelina, mógł ją poznać wszędzie w życiu przedewszystkiem, jak każdy wielki artysta, lecz Molière mu wskazał, jak nieocenionym tematem dla komedjopisarza jest ta właśnie codzienna dusza ludzka, nauczył, ile czego trzeba, aby tę duszę w dziele odtworzyć, dowiódł, że jedynym szczerym humorem, a czasem i bolesnym sarkazmem jest właśnie człowiek sam, gdy wyjdzie z niego na światło dzienne to, co on kryje wstydlawie przed światem. Po za licznymi cechami bratnimi różni te dwa wielkie talenty jednak wiele, sto pięćdziesiąt lat dziejów nauczyło Fredrę cnotę i grzech rozumieć głębiej; on już chce czegoś więcej od ludzi, niż tej Molièrowskiej moralności, która zabrania tylko szkodzić innym, — każe

im szukać w sobie wyższych wartościowych pierwiastków, umie nie tylko, jak wielki poprzednik, ośmieszyć zło, ale też i opromienić prawdziwe dobro. Z usposobienia duszy płynący pogląd na świat, też na różne bieguny zaniósł naszych poetów. Fredro nie bryzga już żółcią, nie potępia bezwzględnie swych bohaterów, śmieje się z serca, pozwala im nawet poprawić się. Gdzie się rozeszli ludzie — tam jednak artyści, o ile są naprawdę artystami, spotkać się musieli i spotkali się.

Molière bowiem był tym stopniem, który każda kultura, chcąc stworzyć wielką komedję, przejść musiała. Niemcy, które wpływ Molièra, wraz z całym klasycyzmem francuskim już w połowie XVIII-go wieku odrzuciły, nie wydały arcydzieła komedjowego, stworzyły je za to, wsparte na tradycjach Molièrowskich Włochy, przez Goldoniego, po części Anglija przez Sheridaną, w zupełności Polska dzięki Fredrze.

Prąd wieku oświecenia był tą siłą, która przeszczepiła komedję Molièra do literatury wszystkich prawie narodowości, gdy prąd ten jednak spotkał przeciwny, groziło dziełu przez niego niesionemu, że i ono wraz z wiodącą go, lecz już gasnącą siłą, pochłonięte będzie. Przyszła wielka burza literacka, romantyzm wprowadza za sobą przewartościowanie pojęć piękna, rozbija taranem zmurszałe, lecz podtrzymywane podporami kompromisowej krytyki wielkości, wygrzebuje wzamian za to z zapomnienia, pogardzane dotąd twory zapo-

znanych geniuszów. W tej nowej walce zaatakowano i komedję klasyczną, zaatakowano ją jako rodzaj literacki zbędny, do nowych celów niepotrzebny. Dzieło Molièra ostało się jednak, i gdy czas burzy minął, zwrócono się do niego, zwrócono znowu i nadal, nie jak do zmurszałych i czczonych dla tradycji tylko zabytków dziejowych, lecz jak do żyjącego zawsze arcydzieła, w którym tylko nowe światła okazały nieznane przedtem walory i głębie.

W Polsce w stosunku do Poquelina romantyzm ma tę pośrednią zasługę, że zmusił do zrewidowania tłumaczeń doby klasycznej, kazał odrzucić wszelkie naleciałości i dobudowy. Chciano już teraz Molièra pokazać po polsku takim, jakim był naprawdę, zadania tego narazie nie wypełniono, nie znalazł się bowiem nikt, któremu by talentu na to starczyło, przekłady Kowalskiego czy Zalewskiego, Sarneckiego i Urbańskiego nie podołały zadaniu.

Pod tym względem dopiero wiek XX oddał należny hołd Molièrowi, dopiero bowiem przekład Boy'a-Żeleńskiego, w całej pełni daje nam poznać, w polskim języku, piękno arcydzieła francuskiego poety. Teraz dopiero widz i czytelnik polski może w swym rodowym języku obcować z arcydziełami geniuszu, może mieć pewność, że żaden z wielkich rysów, żadna myśl ani spaczona, ani opuszczona, ani niejasna, czy odarta z piękna i patyny wieku XVII nie będzie.

Leon Galle.

M I Ł O Ś Ć.

Już sześć lat minęło od chwili, gdy Jakób ostatni raz jechał do domu, tak samo stojąc przy oknie wagonowem i bezmyślnie patrząc w dal. Kiedy spogląda teraz na te bezkresne równiny z pasieczkiem lasu gdzieś na horyzoncie, na to niebo, jakby nieco przyémione, przysłonięte dymem; na te chaty wpół wrosłe w ziemię — zdaje mu się, że widział je zaledwie wczoraj, że on sam niepotrzebnie strawił gdzieś sześć lat swego najpiękniejszego wieku, gdy tu nic się nie postarzało nawet o godzinę. Jakby czas zatrzymał się w swym biegu. Jakób wie, że to złuda, że, wejrawszy uważniej, zobaczy wiele pomarszczonych, niedawno jeszcze świeżych twarzy i schylonych postaci, wiele chat o chleb łaskawy proszących — wiele...

Ale pociąg gwiżdże przeciągle, wpada na stacyjkę i staje. Jakób przerywa rozmyślenia, zbiera walizy i wysiada. Do miasteczka cztery wiorsty drogi — najmuje więc dorożkę, sadowi się i jedzie. Żydek z kozła obraca się doń kilkakrotnie i stara się zawiązać rozmowę, ale zraża się niefortunnymi próbami. Jadą w milczeniu. Szkapa człapie miarowo, spokojnie, pełnym godności truchcikiem, nieczuła na zewnętrzne podniety, chcące ją zmusić do pędu — go biegu. Z pod jej rozklapanych, zepsutych kopyt pryska od czasu do czasu fontanna zebranej w zagłębieniu drogi wody. Powietrze jest parne i ciężkie jakąś duszącą, pływającą z pól wonią. Jakób chłonie je z lubością, patrząc z pod przymkniętych powiek na linję szosy. Myśli o swoim rodzinnym miasteczku: — Napewno wyda mi się jeszcze mniejsze i jeszcze brudniejsze! Ach, te rynsztoki, pełne płynów nieokreślonych kolorów i konsystencji, te wyboiste kamienne trotuary, grożące co krok nabiciem guza, lub w najlepszym razie oderwaniem sobie poduszki. A gromady ciekawej, usmolonej dzieciarni, natrętnej jak muchy w letnie południe, lub sfora jazgotliwych, pokojowych psiaków. Nie, nie go nie ciągnie do tej ciasnej, brudnej norry — żeby nie matka, czyby mu się i śniło tu zajrzeć!

Ziewnął przeciągle raz i drugi, i począł z lekka drzemać — dopiero gdy bryczka zaturkotała głośniejsze po bruku, uniósł powieki i niedbale rozejrzał się dokoła. Było już przed wieczorem — ludziska ukończyli wszelkie roboty i odpoczywali teraz na przyzbach, patrząc ciekawie na nieznanego gościa. Łaciaste kundysy z wrzaskiem rzuciły się na Mołskową karotę, ujadając z tyłu, lub skacząc do mordy, niewzruszonej w swej powadze ślepej szkapy. Jeszcze jeden, drugi zakręt i kres podróży. Jakób gramoli się ociężale z siedzenia, a tymczasem z ganeczku, obrośniętego winem, biegnie już ku niemu rozczulona, odziana w piękną, namarszczoną suknię — sędziwa niewiasta.

— Nareszcie, nareszcie, już myślałam, że nie przyjedziesz! Józka, a żywo bierz

rzeczy panicza, uch, jak to się rusza, nie mrawa! chodź kochasiu, chodź, a tom się namartwiła, czekałam wczoraj. Józka, żywo ogień roznieć! Rozbieraj się tu, aniołku, albo wprost do swego pokoju, co?

Krzątała się koło niego, nalewała wody do miednicy, podawała ręcznik i wciąż mówiła o swej tęsknocie, o niepokojach i swojej radości: „Sześć lat! Panie Boże liłościwy — a choć szczęście, że w zdrowiu i przy życiu Panienska Najświętsza utrzyma raczyła — tyle czasu! I gdzie to tak wciąż po świecie? Chyba ci czasami tęskno było za swoimi — a? Aleś się zrobił mężczyzna ho, ho! A do tatuńcia nieboszczyka podobny — syneczku mój najmilszy, jaka j...” i dalszy ciąg rozplynał się w podchłipowaniu i dziękczynnym westchnieniu.

Józka tymczasem dmuchała w samowar, ile sił starczyło w jej zdrowej, mocnej piersi i za chwilę niosła go dumnie do jadalni. Michalikowa chyba całą swą spiżarnię wyłożyła na stół, w celu nakarmienia syna. „Jedz, jedz kochanie, chlibek swego pieczenia i bułeczki świeże. Masło dzisiaj kupiłam, a tu serek...” i mimo protestu podsuwała mu coraz coś nowego. Jakób jadł i milczał, bo chociaż zarzucała go gradem pytań, do słowa dojść nie dała: — Pokoik urządziłam ci na górce, tu na dole poprawdzie ładniejszy, ale byś się nie wysypiał. Marcycha już o czwartej idzie do krowy, a i świnię obrządza, jak raz niedaleko chliw stoi. A Józka to ci się tak czasem rozedrże... ale widząc, że syn mruży oczy i ziewa, ucieła nagle i zerwała się z miejsca.

— Idź, idź już, połóż się kochasiu — a śpij w spokoju — niech cię Bóg błogosławi. Jakób pocałował matkę w rękę i poszedł na górę po skrzypiących, krętych schodach. Michalikowa zaś, zarządziwszy to i owo w gospodarstwie, podreptała do sypialni, gdzie zapaliwszy lampkę przed Matką Boską, ukłękła na klęczniku i, bijąc się głośno w piersi, modliła żarliwie, jakby gorąco za coś dziękując i podziękę zraszając łzami. Po pacierzu zaczęła się rozbierać, jak mogła najuważniej, żeby broń Boże niespodzianym łoskotem nie przebudzić syna.

Jakób jednak nie spał. Stał w otwartym oknie i wpatrywał się w wysrebrzoną poświatą księżycową — dal. Miasteczko spało ciche i spokojne, jak znużone całodzienną zabawą dziecko, którego nocą nie dręczą wyrzuty sumienia. Tylko czasami zaszczał pies krótko, nerwowo i odpowiedział mu drugi — już przeciąglej i żałośliwiej. Coś niezmiernie dobrego było w tej jasnej nocy, która ciche swoje dłonie położyła na czoło ziemi i wódząc niemi bezszumnie a miękko, dawała ukojenie sercom starganym i odpoczynek znużonym. Jakób czuł, jak się po nim rozlewa jakiś przeogromny spokój — gość dawno niewidziany i jak ogarnia go słodka, leniwa niemoc. Usiadł na oknie, wsparł głowę na

dłoni i patrzył w śpiący, wonny sad, pełen szeptów i drgnień. Było mu dziwnie lekko, choć smutno. Nazajutrz przebudził się późno, i z bólem głowy. Ze dworu dołatywały wrzaskliwe nawoływania, głośne ujadanie psa i kilka kłócących się głosów. Jakób wspomniawszy wczorajszy wieczór i westchnął.

Na dole oczekiwała go matka ze śniadaniem. Dowiedział się od niej, że już całe miasteczko wie o jego przyjeździe i że wszyscy są bardzo ciekawi go zobaczyć. Michalikowa mówiła to z dumą i była nie mile zdziwiona, gdy syn mniej się tem zachwycił.

— Cóż to, jestem dzikie zwierzę w menażerji, czy co? Mało to ludzi chodzi, niech sobie oglądają. We mnie nie osobliwego nie ujrzą!

— O Paniensko Najświętsza, ale mi chyba tego wstydu nie zrobisz, żeby do gości nie wyjść, jak przyjdą!

Jakób obiecał z kwaśną miną, ale przytem zapowiedział, że sam nigdzie chodzić nie będzie. Ale i ta perspektywa odwiedzin przestraszyła go nie na żarty: chciałby tu trochę odpocząć, popracować, pobyc sam z sobą, a tymczasem... „Tfu! wstrętna dziura!” splunął. Na szczęście kilka dni upłynęło i nikt się nie zjawiał.

Jakób każdego ranka brał książkę i starannie mijając tonące w brudzie „śródmieście” uciekał do lasu. Przez ulice szedł zwykle ze spuszczoną głową, popierwsze aby uchronić swoje zagraniczne buty od karkołomnych niespodzianek, a po drugie, żeby uniknąć spostrzegania natrętnych, ciekawych spojrzeń, ezatujących nań zewsząd. Po obiedzie drzemał zwykle do podwieczorku, snując jakieś leniwie rozciągle marzenia, a resztę czasu poświęcał matce. Wieczór zresztą znów należał do niego z całym czarem swych szarych, miękkich draperji mroku, przetkanych srebrną nicią księżycowych promieni; matowym tłumikiem ciszy, która wcześniej się tu kładła na rozwichrzony zgiełk dnia i upojnym zapachem cudownego kwiecia, nocą dopiero rozchylającego swe kielichy, pełne aromatu.

Michalikową jednakże męczyło takie zachowanie syna i miała do niego cichą pretensję: nie na darmo przecież od dwóch tygodni tylko o nim opowiadała, chwalać rozum, dobroć i wykształcenie; nie na darmo z góry spoglądała na Józwiakową, której syn ledwie trzy klasy skończył, trochę się między ludźmi przetaił i przyjechał tu niedawno mądrością swoją świecić, albo na Zegzińską, co z pychy stapa jak paw, bo jej córka wyszła zeszłego roku za geometrę — nie na darmo siała wszędzie zaciekawienie i budziła zazdrość!

— Pomyśl, że nakłamałam — abo co? biadała w duchu.

Najgorzej przykro było jej spotykać się z Wilkami.

(D. c. n.).

Stefanja Porazińska.

JADWIGA MARCINOWSKA.

W POŻODZE EUROPY.

(DALSZY CIĄG).

Pucołowaty na głos wyspiewywał piosnki coraz to bardziej swawolne, potem, z właściwą pijanym, nagłą zmianą usposobienia, przeszedł na nutę żałosliwą:

„W dzień deszczowy i ponury,
dzieci lwowskie idą z góry...”

Zawodził monotennie w pospolitej i li-chej piosence, która jednak po chwili poczęła nabrzmiewać jakimś patosem krzywdy i bólu:

„Już nam chleb i koce znoszą,
już zagrali nam „Bartoszu...”

Widziało się w wyobraźni rzecz już aż nadto znana: za parowozem sapiącym niecierpliwie, długi szereg wagonów naładowanych młodym żołnierzem, temi dziećmi lwowskimi, którym władza obca przygrywała: „Bartoszu, nie traćwa nadziei!” jak od wielu dziesiątków lat, w różnych dzielnicach rozdarłej ziemi, odnośni zaborcy niejednokrotnie grali sercom polaków, ażeby się im zdawało, iż pogina za swoje...

Gdzieś na wschodzie Ojczyzny Moskał panoszy się w zdobytym Lwowie, który stał się oto dla Polski najdroższym utraconym klejnotem i wyszarpniętą najboleśniej częścią żywego łona; a tu, na piastowski Slązku, w ciemną noc, trzęsący się wóz kolejowy unosi ciżbę żołnierską nieświadomą przeznaczeń swej podróży, ani miejsca i dnia, w którym kulka nieprzyjacielska przetnie wątek ukrzywdzonego życia. — Wśród turkotu i mroku wyciąga się monotennie na całe gardło śpiewana, coraz to żałośniejsza piosenka, licho sklecona:

„Patrz na tego manlichera:
nie każdy żołnierz umiera...”

Skarga szukała dla się pociechy, ale i w jednostajnej melodji i w młodym głosie wyrażał się tylko smutek nieutulony i, gdy wypływały ostatnie słowa, mające rzekomo zwiastować jakąś nadzieję:

„Może, Bóg da, wróćę zdrów
i zobaczę jeszcze Lwów...”

Witold ujrzał przy migotaniu świeczki, że po zawadjackiej twarzy śpiewaka ciurkiem toczą się łzy...

W Jabłonkowie przywitał ich poranek, jak na tę porę roku, przedziwnie pogodny i łaskawy. Pod bladem, ale jasnym niebem śliczne pagórki, okalające miasteczko rysowały się falistym, zadrzewionym półkregiem, jak objęcie łagodne i jak obietnica odpoczynku w rzeźwości przeczystego powietrza i błogosławieństwie czarownym malowniczej krainy. Słodycz mieszkająca w tej okolicy, przejawiała się w linjach i barwach, w jakimś, rzekłbyś, miłościwym uśmiechu ziemi. Wbrew obnażeniu, które spowodowała jesień przechodząca już w zimę, myślało się tu o kwiatach... Zgoła strumień, który toczył się wartko, z szumem przecinając dolinę, śpiewał ja-

koś pieściwie. Dusza ludzka mogłaby się tutaj ufnie zagoić, gdyby myśl ludzka zdołała zapomnieć o wszystkim, co za pierścieniem tych wzgórz kojących szalało bólem i grozą.

W Nawsiu, tuż obok Jabłonkowskiej stacyjki kolejowej błękitniało od szaro-niebiskich mundurów. Przed długim i niskim drewnianym budynkiem, w którym się mieściły biura kwatermistrza i inspekcji lekarskiej, gromady wyczekujących legionistów miętosiły wielokrotnem deptaniem rozkisle, jesienne błoto. Powiewał wiatr dosyć ciepły i złotawe promienie słońca kładły się delikatną pieśczętą na przeważnie utrudzone i zbladłe twarze. Naprzekór bladeści tej i zmęczeniu, raz po raz zrywał się z czyichś ust żart wesoły; młodość wybuchała swem prawem, stwierdzała się mimo wszystko, coby zniszczyć ją chciało.

Witold wyszedł z wnętrza domostwa w towarzystwie kaprała Trzycieskiego, młodzieńca o olbrzymiej, pleczystej, herkulesowej budowie.

— Będziecie sąsiadowali na kwaterze z bratem moim, — rzekł tenże; w tym samym domu przez sień.

— Więc się bratu udało przenieść do Legionu?

— Nie! nie! — zaśmiał się Trzycieski trochę smutno, a trochę głupkowato; Austrjak! Ale urlop dostał z powodu zdrowia i tutaj ściągnął jakoby z afektu do mnie. Zresztą naprawdę chory...

— Cóż to mu jest?

— Zobaczcie!.. Na dużem, a tępawem obliczu olbrzymiego kaprała odmalował się głęboki frasunek, herkulesowa postać nachyliła się Witoldowi do ucha: Leczyli go już w Wiedniu, — zaszeptał, — no, i nie!.. Ale i z wami coś się dzieje?.. dodał tonem pytania.

— Ze mną? Nie absolutnie! obruszył się Witold.

— Nie udawajcie! Ja tam sprytny nie jestem z natury, ale obecnie coś się we mnie stało, że takie rzeczy zgaduję...

— Nietrudno zgadnąć! Możecie zasłyszeli, że coś mię drasnęło pod Laskami...

— Nie! nie! to nie to... I olbrzym pokiwiał wielką głową.

— Do stu djabłów! co się wam uroiło? Nie filozofujcie; to nie wasze rzemiosło!

— Wiem! wiem! zaśmiał się Trzycieski znów po swojemu, dobrodusznie i trochę głupkowato.

Witold pragnął mieć przeświadczenie, że się nic w nim nie dzieje. Trwał dotychczas z ostrą czujnością na stanowisku wewnętrznym, z którego zgromił był Szymka. Wiedział, iż w razie najłżejszego zachwiania zmiażdży samego siebie pogardą nieubłaganą; miał ją w pogotowiu, jak strasz-

na broń i uciemniał się pod własnym podejrziwym nadzorem.

A jednakże kiełkowało coś na dnie duszy. Przywiózł to ze sobą z Krakowa jak ziarno ukryte. Nabrzmiało poza świadomością, niepostrzeżenie. Nie było samo wątpieniem, ale poczuciem bólu dojmującego, że inni wątpić mogą. Od tej nieufności owych innych i z otoczenia, w którym rozpoczynało się pęknięcie wiary, wstawał ogromny smutek. Zciemniło się, zmąciło i zgasło pierwotne, młode szczęście strzeleckie...

Życie w uroczym Jabłonkowie jęło płynąć korytem nudy w beczynnym oczekiwaniu.

Wszystko tu było tymczasowe, niepe-wne i zlepione dorywczo, jak to zazwyczaj na popasie. Napróżno wieniec pieściwych wzgórz określał horyzont łagodną linią kojącą; tęsknota, niecierpliwosć i troska szły posępnymi skrzydłami ku tym wyniosłościom lesistym i uderzały w piękno ich żądzą, rozterkę i obawą. Wiedziała myśl, że za widnokresem zamkniętym buchają dymy kolosalnego pożaru i drżły wstrząśnięta do głębin swoich ziemia.

W ślicznej dolinie, którą przecinał szumiący potok, oddzielając właściwe miasteczko Jabłonków od osady Nawsia i od toru kolejowego koczował w osobach niektórych władz swych i z taborem swych instytucji tak zwany Naczelny Komitet Narodowy. Zamierzał być przedstawicielstwem i zwierzchnictwem Ojczyzny, a znalazł się w ustronnym zakątku, na dorywczym postoju, zmuszony do ustąpienia z zagrożonego Krakowa, i zależny w działalności swej od zagadkowych kaprysów pstrej polityki austriackiej. Koczowały w malowniczej dolinie szczupłe kadry Legjonowe, w głębiej myślących jednostkach swoich trawione coraz bardziej poczuciem krzywdy, iż Kraków poruczony został w obronę — Niemcom przeciwko nawale Moskali. Nieufność Austrii obawiała się powierzenia twierdzy i ważnego punktu prawym synom tego miasta, polakom; tradycyjnie bezwstydną intryga austriacka drugi pułk Legionu, niemal wyłącznie z młodzieży galicyjskiej złożony, rzuciła aż hen! na Węgry ku zasłanianiu piersiami obcych pieleszy, podczas gdy Kraków pod strażą piket-hauby miał czekać natarcia Rosjan i oblężenia...

Monotonnie wlekły się dni. W cukierence przy malowniczym rynku roilo się od siwych mundurów. Zjawiały się twarze jeszcze jakby owiane dymem niedawnych bitew, wpadały w ciżbę zmieszanych głosów opowiadania o boju pod Krzywopłotami, albo pod Mołotkowem. W chwilach takich uciszał się okólny gwar i słuchano. Szarość wytęsknionego nastroju przecinały te smugi krwawe i gasły. (D. c. n.)

KRAWCZYNI I SZWACZKI CHRZEŚCIJAŃSKIE W WARSZAWIE

(Dalszy ciąg).

Roboty dostarczają G. U. Z. A. i Departament Gospodarczy przy Minist. Spraw Wojskowych oraz pewne firmy prywatne. Płace zarobkowe obliczane są od sztuki, a mianowicie: za komplet bielizny (koszula i kalesony) 2 mk, 75 fen. za garnitur cywilny (kurtka i spodnie) 25 mk.

Personel robotniczy szwalni stowarzyszeniowej składa się przeważnie z chałupniczek, mężatek, pracujących w domu. Na miejscu jest po kilkanaście lub więcej (w Kole Pracy Kobiety np. 34) pracownice wykwalifikowanych, oraz mężczyźni tak zwani krojczowie. Chałupniczki są podobno elementem stale niezadowolonym, jakkolwiek kierowniczki stowarzyszeń zapewniają, iż robi się wszelkie wysiłki, aby podnieść ich zarobki. Do domu zabierają przeważnie roboty łatwiejsze i prostsze, a zatem bieliznę wojskową lub szpitalną, ubranka dziecięce, koldry i t. p. Materiał z pracowni wychodzi przygotowany, a zatem skrojony, a ze S. K. K. nawet dopasowany. Wydawanie roboty i przyjmowanie materiału dokonują się w określonych godzinach przez kierowniczkę lub magazynierkę. Chałupniczki obowiązują dodawanie przy robocie wszędzie nici, a w jednej pracowni także guzików, zatrzasków i tasemek.

Pracowniami kierują zarządy, których personel jest płatny miesięcznie, gdy płaca robotnic jest przeważnie akordowa. Terminy rozwiązania umowy są przeważnie miesięczne.

Urlopy wakacyjne dwu lub czterotygodniowe są płatne, a słabsze robotnice kieruje się do kolonji letnich, w których otrzymują również utrzymanie.

Dzień pracy trwa 8 godzin, ale sobota angielska przestrzegana jest tylko w jednej pracowni. Przerwa południowa trwa 1 lub 2 godziny. Co do 8 godzin pracy, to były one wprowadzone od początku istnienia szwalni. Nowe pracownice wchodzi do szwalni przez prywatne pośrednictwo, na polecenie koleżanek lub przez należenie do Związków. Kwestję płac zarobkowych omawiać będą na innym miejscu dla pracowniczek zajętych we wszystkich typach pracowni.

Położenie pracownic.

Wśród pracownic rozróżnić należy trzy kategorie:

Rękodzielniczki szwaczki, zatrudnione po pracowniach (82 odpowiedzi), chałupniczki, pracujące we własnym mieszkaniu, którym przedsiębiorca dostarcza materiał i odbiera od nich robotę (3 odpowiedzi), oraz szwaczki o zmiennym typie zajęcia, które biorą robotę do domu albo przychodzą do rodzin prywatnych do szycia (13 odpowiedzi).

Z pośród szwaczek po pracowniach było 6 uczennic, 37 podręcznych, 31 zdolnych oraz 7 starszych panien. Przeważały zatem podręczne i zdolne, dając 83,7% odpowiedzi. Pracownice pomieszczone były przeważnie na I i II piętrze (42) w lokalach 1—3 pokojowych (78) ogrzewanych (40) przy dostatecznym oświetleniu w dzień i wieczorem, o ile sędzić z liczby okien i rozpowszechnienia elektryczności. Oświetlenie elektryczne przeważa (42 wypadki). Tylko w 6 wypadkach zaznaczono, że pracownice nie są ogrzewane, ponieważ zaś odpowiedzi zbierane były w zimie należy przypuszczać, że inne są ogrzewane, jakkolwiek nie zostało to wyraźnie zaznaczone. W pracowniach omawianych pracowało w jednym pokoju

do 5 osób w 28 wypadkach

od 5—10 „ 20 „

więcej niż 10 „ 25 „

Stosunek do właścicielki 35 odpowiedzi zaznacza jako dobry, a 24 jako znośny. Stosunek do towarzyszek pracy był w 46 wypadkach przyjazny.

Pracownice przeważnie niedawno pracowały w obecnych warunkach:

Mniej niż pół roku 20

Od pół do 1 roku 15

Więcej niż rok 32

W tem dłużej niż 5 lat pracowało 11, a zatem ósma część odpowiadających.

Chałupniczki przyjmują robotę od firm (w 28 wypadkach), albo też przypadkowo ją dostają. Jest to przeważnie krawieczyna (15 odpowiedzi) i szycie

bielizny (17), po za tem w poszczególnych wypadkach cerowanie i krawaty. Oplata liczona jest od sztuki (32) z tego w czterech wypadkach obliczają na tuziny. Dodatki dają same firmy (np. Dzwignia daje wszystkie dodatki, oprócz nici), albo też chałupniczki je kupują, wydając od 10—40 mk. tygodniowo. Przeważna część chałupniczek (14) pracowała w swojej firmie niecały rok.

Robota dla chałupniczek niezawsze jest w dostatecznej ilości. Spotykamy tu następujące odpowiedzi:

Robota w dostatecznej ilości 9

„ niezawsze jest 14

Robota w niedost. ilości 9 wypadków.

Ta nieregularność w pracy powoduje dla chałupniczek bardzo znaczne w niej przerwy, można nawet raczej mówić o krótkich sezonach pracy. Podczas przerw 10 chałupniczek wyjeżdżało na wieś, a 19 nie wyjeżdżało. Ogromna część chałupniczek niema pracy, ponieważ piętrzą się trudności w jej zorganizowaniu. I tak np. kierowniczka Dzwignia oblicza, że zamiast 200 zatrudnionych obecnie robotą wojskową możnaby zająć 600, gdyby miały bodaj jedną salę więcej do krajania materiałów i przygotowywania tej roboty.

Tylko w małej mierze udało się uchwycić stałą bolączkę chałupnictwa to zn. warsztaty pracy przepełnione, ciasne i służące jednocześnie jako mieszkania. W 12 mieszkaniach odbywało się jednocześnie gotowanie i pranie, w 17 nie było prania i kuchni, osób w 16 wypadkach mieszkało 1—5. Mieszkań w suterynie, ani na poddaszu ankieta nie wykazuje, natomiast na piętrze 26, a na parterze 9.

(D. c. n.)

Dr. Zofja Daszyńska-Golińska.

Z POLSKI I ZE ŚWIATA.

Sejm przyjął nowelę do ustawy o 8-godzinnym dniu pracy. Mocą tej noweli „w handlu czas sprzedaży towarów i otwarcia sklepów, z wyjątkiem aptek i jadłodajni, ustanawia się na 10 godzin dziennie bez nakazu zamykania sklepów w południe”.

Zniesienie Ministerstwa Kultury i Sztuki uchwalono w Sejmie w drugim czytaniu.

Uroczysty ingres metropolity prawosławnego, Jerzego, do cerkwi na Pradze odbył się w d. 15 lutego przy udziale przedstawicieli Rządu i Sejmu polskiego.

Konwent Senjorów naradzał się nad przyspieszeniem terminu wyborów do nowego Sejmu. Większość na konwencie oświadczyła się za terminem przyspieszonym 25 czerwca. Rzeczą wejście zapewne na plenum.

Wolny handel węglem górnośląskim ma być dopuszczony z d. 1 marca.

W naradach nad górnośląską konwencją gospodarczą prez. Calonder wezwał jako rzeczoznawcę ambasadora japońskiego w Paryżu, wice-hr. Ischi'ego, referenta sprawy górnośląskiej w Lidze Narodów.

Min. Skirmunt przedstawił Komisji Spraw Zagr. przegląd spraw naszej polityki międzynarodowej ze szczególnem uwzględnieniem zjazdu w Genui. Wywiązała się ożywiona dyskusja.

Na wniosek rządu francuskiego, przy osobistym poparciu go przez p. Benesa w Londynie, rząd angielski zgodził się, aby w naradzie rzeczoznawców wielkich mocarstw Ententy przed Genuą wzięli udział także przedstawiciele Polski i Małej Ententy.

Tymczasowe przepisy o organizacji cerkwi prawosławnej w Polsce uchwalono i ogłoszono w „Monitorze”. Ponieważ biskup Pantalejmon, zarządzający diecezją pińsko-nowogrodzką, odmówił stosowania się do nich, przeto zawieszony został w czynnościach i zamieszkał w klasztorze w Mielcu.

Przesilenie rządowe we Włoszech trwa w dalszym ciągu. Misja Bonomiego upadła.

Zjazd w Genui został zakwestjonowany, tak co do miejsca, jak co do pory jego odbycia. Mówi się o przeniesieniu go do Rzymu i odroczeniu na kwiecień.

Fiński minister spraw wewn., Ritawari, został zamordowany.

Szereg wywiadów z przedstawicielami Sowietów ogłosił paryski „Matin”. W wy-

wiadach tych dygnitarze sowieccy — niewiadomo o ile szczerze — zapewniali o chęci swej wejścia w porozumienie z Polską i Francją, a o niechęci wobec Anglii. Możliwa intencja poróżnienia Anglii i Francji przed Genewą.

Prośba Landru o rewizję procesu została odrzucona. Teraz może go tylko utaskawić Prezydent Republiki.

Otwarcie Trybunału Międzynarodowego nastąpiło 15 lutego w Rzymie.

Rząd Wirtha otrzymał votum ufności Parlamentu większością 35 głosów.

Konferencja państw sukcesyjnych rozpoczęła się 15 lutego w Rzymie. Polskę reprezentują pp. Loret, Smolka i Babiński.

Trockij wygłosił na zebraniu wojskowych załogi Moskiewskiej niezmiernie wojownicze przemówienie, grożąc, że „cień armji sowieckiej będzie na konferencji w Genui”.

Prez. Poincaré odbył ważną naradę z królem Belgów.

Zniesienie protektoratu Anglii nad Egiptem zostało w zasadzie postanowione. Rząd angielski pragnie tylko zabezpieczyć interesy angielskie w Egipcie i zastrzeżenie sobie w każdym razie pozostawienie wojsk angielskich dla ochrony kanału Suezkiego.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Wielkopolance. Czasopismo „Ster” obecnie nie wychodzi, — adres „Książki” jest następujący: redakcja Warszawa — Aleja Róż 14, administracja, Plac Trzech Krzyży 8. Pismo francuskie radzimy Sz. Pani zaprenumerować przez którą z większych księgarni.

B. A. S. Żądanych informacji udzieli Sz. Panu „Informacja Prasowa Polska” — Warszawa — Nowy Świat 41.

P. Marji Ussorowskiej. Wykaz wygranych milionów może Sz. Pani otrzymać w najbliższym prowincjonalnym oddziale Państwowej Kasy Pożyczkowej — lub też w P. K. P. w Warszawie, Bielańska 5.

P. C. M. w Piotrkowie. Liczba nowel nie jest ograniczona — treść i rozmiary dowolne.

P. Marji Orpizewskiej w Sierpcu. O wspomnianem przez Sz. Panią wydawnictwie dla dzieci — nie slyszełmy — radzimy zwrócić się z zapytaniem do Informacji Prasowej Polskiej — Warszawa Nowy Świat 41.

TREŚĆ No 9-go.

Waszyngton — Cannes — Genua — przez Irenę Panenkową. Dwa nieznane listy Krasińskiego — przez prof. Ignacego Chrzastowskiego. Ideaty wychowania fizycznego — przez dr. T. Jaroszyńskiego. Bal. — Nic nie pomogły — przez Zofję Rościszewską. Molière w Polsce — przez L. Gallego. Miłość — przez Stefanję Porazińską. W pożodze Europy — przez Jadwigę Marciniowską. Krawczynie i szwaczki chrześcijańskie w Warszawie (ankieta) — przez dr. Zofję Daszyńską-Golińską. Z Polski i ze Świata. — Odpowiedzi redakcji. — Dodatek artystyczny. — Dodatek powieściowy p. t. Rozmowyjka poszukuje ojca — przez C. U. S. A. M. W. Williamsa, tłumacz. — przez Jadwigę Dmochowską (ark. 2-gi).

LACTA i MILKA

NAJLEPSZE, NAJTAŃSZE FIŃSKIE
WIRÓWKI DO MLEKA

SPRZEDAJEJ

ZWIĄZEK SP. MŁECZARSKICH I JAJCZARSKICH
WARSZAWA, KRAK.-PRZEDM. 6.

1774

WIELKI DZIENNIK POLITYCZNY

1922

GAZETA WARSZAWSKA

(NAJSTARSZY DZIENNIK POLSKI, ZAŁOŻONY W R. 1774).

ORGAN NIEZALEŻNY POLITYKI NARODOWEJ

OPIERAJĄCY SWÓJ BYT JEDYNIĘ NA SWEJ WZIĘTOŚCI W SZEROKICH MASACH NARODOWYCH.

OBEJMUJE WPŁYWEM ORAZ INFORMACJĄ
WSZYSTKIE DZIELNICE.

ŹRÓDŁOWE WIADOMOŚCI POLITYCZNE.

SZCZEGÓLNE BACZENIE NA ŻYCIE GOSPODARCZE I KULTURALNE; CODZIEN FELJETON.

KORESPONDENCI WŁAŚNI:

W PARYŻU, BRUKSELI, RZYMIE, CHICAGO, BERLINIE, WIEDNIU, GDAŃSKU.

REDAKTOR NACZELNY ZYGMUNT WASILEWSKI.

WYDAWCA MIECZYŚLAW NIKLEWICZ.

PRENUMERATA WYNOSI MIES. MK. 500; Z DOSTAWĄ MK. 550.

WARSZAWA,
ZGODA 5.

RACH. BIEŻ. w P. O. K 106.

TELEFONY:
26-58; 275-11;
98-68 (zamej.).

Przy przesyłaniu opłat oraz wszelkiej wogóle korespondencji prosimy powoływać się na Nr wysyłki, uwidoczniiony na każdej opasce.

Na przekazach prosimy umieszczać tylko wyraźny adres i nazwisko, Nr ekspedycji oraz za jaki czas jest wnoszona opłata.

Prenumerata jest przyjmowana tylko od 1-go każdego miesiąca.

Prosimy o szybkie uregulowanie rachunków za prenumeratę.

OD WYDAWNICTWA

Prenumerata „Bluszczu”

miesięcznie - - - - - Mk. 600.—
z odnośnieniem do domu, lub przesyłką pocztową.

Zagranicą miesięcznie Mk. 2000.— Cena numeru pojedynczego Mk. 175.—

Wszystkich P. P. prenumeratorów prosimy o szybkie nadsyłanie prenumeraty i wyrównania.

REDAKCJA: Nowy-Swiat 41. Telefon 105-22.

ADMINISTRACJA: Pałac Staszycy Krak.-Przedm. 2, Koło Polek tel. 239-40.

CENY OGŁOSZEŃ.

1 str. — 1 wiersz nonp.	500 mk.
1/2 str.	75.000
w tekście — cała str.	150.000
1 wiersz nonp.	400
ostatnia strona — 1 wiersz nonp.	250
1/2 str.	45.000
cała	90.000

Miejsce 2 wierszowe w „Przewodniku handlowym.” — 1.000 mk. jednorazowo.

OGŁOSZENIA przyjmują prócz administracji „Bluszczu”: Tow. Akc. „Reklama Polska”, Warszawa, Jasna 10, Biuro Ogłoszeń T. Pietraszek — Marszałkowska 115, L. i E. Metzl i Sp. — Marszałkowska 130, Biuro Dzienników S. Ungra — Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „Nowa Reklama”, Długa 9 i I. Buchweitz — Marszałkowska 120.

Wydawca „KOŁO POLEK”.

Redaktorka: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (Łozińska).

Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka w Warszawie, Chmielna 61.